



■ Kryzys na linii Berlin-Waszyngton

Jadwiga Kiwerska

Stosunki amerykańsko-niemieckie miały w przeszłości lepsze i gorsze fazy. Dominowało jednak przekonanie, że stanowią one zasadniczy element układu transatlantyckiego, wpływając na jego skuteczność i znaczenie. Stąd dbano o ich umocnienie aż do wypracowania partnerstwa amerykańsko-niemieckiego. Taki charakter miały relacje na linii Waszyngton-Berlin w okresie prezydentury Baracka Obamy, który uważał kanclerz Angelę Merkel za swego najbliższego partnera w podejmowaniu kluczowych decyzji i wiarygodnego sojusznika w przewyciężaniu wyzwań.

Trudno też o bardziej przyjazny gest wobec niemieckiej kanclerz niż słowa Obamy z kwietnia 2016 r., że otwierając Niemcy dla bezprecedensowej fali uchodźców w 2015 r., Merkel stanęła „po właściwej stronie historii” („on the right side of history”). Padły one w trudnym dla szefowej niemieckiego rządu momencie, gdy znalazła się ona pod ostrym ostrzałem krytyki we własnym kraju oraz w innych stolicach europejskich. Tymczasem Obama przekonywał: „Nie możemy po prostu zatrzasnąć drzwi przed bliźnimi, którzy potrzebują pomocy. (...) Inna decyzja byłaby zdradą naszych wartości”. To było niewątpliwie szczere uznanie i wsparcie dla kanclerz Merkel ze strony amerykańskiego prezydenta, cieszącego się nadal dużą popularnością w Niemczech (aż 62% Niemców żałowało, że odchodzi z Białego Domu).

Mając w pamięci te gesty, tym lepiej widać ogromny kontrast w postępowaniu prezydenta Donalda Trumpa wobec Berlina i osobiście kanclerz Merkel, w którym brakuje szacunku i uznania dla potencjału i roli Niemiec, a dominuje wola deprecjacji i osłabienia ich pozycji na arenie międzynarodowej. Efektem działań obecnej administracji jest kryzys w relacjach amerykańsko-niemieckich, wpisujący się w całokształt trudnych stosunków na linii Ameryka-Europa, gdzie mamy do czynienia z procesem lekceważenia przez prezydenta Trumpa wspólnoty transatlantyckiej i traktowania swoich sojuszników w sposób transakcyjny: coś za coś.

Redakcja:

Radosław Grodzki
Jacek Kubera
(redaktor naczelny)
Piotr Kubiak
Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 350/2018
27.06.18

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne
także dzięki:
NEWSLETTER IZ
FACEBOOK
SCRIBD
LINKEDIN
TWITTER

Niemcy wydają się w tym procesie pozostawać na pierwszej linii strzału i to pomimo wysiłków kanclerz Merkel, która czując odpowiedzialność za utrzymanie bliskich więzi transatlantyckich, tak ważnych dla bezpieczeństwa Europy i Niemiec, próbowała pozyskać zrozumienie i uznanie Trumpa dla racji Europejczyków oraz utrzymać dobre relacje. Jej dwie wizyty w Waszyngtonie, w tym pierwsza złożona już w marcu 2017 r. i ostatnia - z kwietnia 2018 r., a także spotkania Merkel z Trumpem przy innych okazjach, choćby szczytów G-7 i nieformalnego szczytu NATO w 2017 r., wreszcie spotkania bilateralne na niższych szczeblach, potwierdziły, że Niemcy są traktowane przez obecnego prezydenta głównie jako konkurent gospodarczy i polityczny, którego interesy i wartości są niemal sprzeczne z jego celami i priorytetami wyrażonymi w hasle „America First”.

Przypomnijmy: różnice dotyczą tak fundamentalnych kwestii, jak bezpieczeństwo międzynarodowe (w tym porozumienie nuklearne z Iranem, z którego Trump zdecydował się wycofać; kwestia poziomu nakładów Niemiec na obronność i finansowania NATO; unilateralizm administracji Trumpa w działaniach na arenie międzynarodowej) oraz gospodarka/handel (zwłaszcza nadwyżka Niemiec i innych państw w wymianie z USA; niechętny stosunek Trumpa do Unii Europejskiej).

Można więc podejrzewać, że intencją Trumpa jest podkopanie politycznej pozycji Merkel. Trudno inaczej oceniać jego niedawny wpis na Twitterze (19.06.2018), nawiązujący do sporu wewnątrzniemieckiego wokół kwestii migracyjnych, grożącego rozejściem się siostrzanych partii CDU i CSU oraz rozpadem koalicji rządowej. Amerykański prezydent snuł nieprzyjazną dla szefowej niemieckiego rządu refleksję: „The people of Germany are turning against their leadership as migration is rocking the already tenuous Berlin coalition”. Podsycając różne lęki, pisał, że „było błędem wpuszczenie do Europy milionów ludzi, którzy tak mocno zmienili jej kulturę”, a przestępczość w Niemczech wzrosła („crime in Germany is up 10% plus”).

Oprócz tego, że opinia Trumpa była krańcowa różna niż wcześniejsze słowa Obamy, a twierdzenie o wzroście przestępczości zupełnie nieprawdziwe (dane niemieckiego resortu spraw wewnętrznych dowodziły trendu wprost przeciwnego - spadku tejże o 9,6%), to pozostaje ważny do odnotowania wydźwięk tej wypowiedzi Trumpa. Było to dość bezpardonowe podsycanie sporu w obozie chadeków, nieprzystające liderowi świata Zachodu.

Nasuwało się nieodparte wrażenie, że jest to nie tylko próba osłabienia Merkel, ale wręcz demonstracyjna chęć zmiany politycznego przywództwa w Niemczech. Przecież nie tak dawno w podobnym tonie wypowiadał się Richard Grenell, świeżo nominowany amerykański ambasador w Berlinie, obiecując wsparcie dla sił konserwatywnych i antysystemowych w Europie, bliskich Trumpowi: „I absolutely want to empower other conservatives throughout Europe, other leaders” (3.06.2018). Idąc śladem niektórych ekspertów, warto zadać pytanie, jaki typ przywódcy chciałaby widzieć w Berlinie administracja Trumpa. Nie ulega wątpliwości bliskość poglądów amerykańskiego prezydenta z AfD.

Nie przesądzając intencji Trumpa, to niewątpliwie jest faktem jego nieustępliwość w atakowaniu Niemiec. Czy jest to atak bezpośredni, jak formułowane zarzuty o niewystarczający wkład w zasoby obronne NATO i w konsekwencji - jak przekonuje

amerykański prezydent – zadłużenie Niemiec w Waszyngtonie lub przypomnienie o niemieckiej nadwyżce w handlu z USA, czy podejmowanie decyzji uderzających w interesy niemieckie lub sprzecznych ze stanowiskiem Berlina i innych stolic europejskich, wymowa w każdym przypadku jest podobna. Proces rozchodzenia się dwóch światów: amerykańskiego i niemieckiego/europejskiego postępuje dynamicznie.

Co więcej, realizując protekcjonizm w handlu, czego dowodem jedne z najbardziej kontrowersyjnych wobec UE decyzji administracji Trumpa podnoszących cła na stal i aluminium (w bliskiej perspektywie na samochody), oraz odrzucając wcześniejsze porozumienia międzynarodowe (paryskie porozumienie klimatyczne i porozumienie nuklearne z Iranem), administracja Trumpa uderzyła w porządek multilateralny i liberalny wspólnie budowany od połowy ubiegłego wieku z takim wysiłkiem. Szczególnie Niemcy, ale też UE zabiegały o utrzymanie zasad działania multilateralnego i porządku liberalnego, wierząc, że zabezpieczają one najlepiej polityczne i gospodarcze interesy całego świata Zachodu.

Działanie prezydenta Trumpa może więc prowadzić nie tylko do podważenia zasad, na których wyrosła siła i pozycja Niemiec, ale osłabiając Niemcy, obecna administracja amerykańska uderza w projekt europejski, w którym Niemcy pełnią ważną rolę. Jeśli o to chodzi Trumpowi, to w tym chaosie jest być może metoda. Prezydentura Trumpa, tak nieprzewidywalna i z pozoru poddana emocjom, w przypadku polityki wobec Niemiec kieruje się określonym celem – osłabieniem i podważeniem rangi i pozycji swego gospodarczego konkurenta, a w efekcie rozbiciem UE, ekspozytury interesów i dominacji niemieckiej – jak wcześniej dowodził Trump.

Konsekwencje tak prowadzonej przez obecnego prezydenta gry mogą się ujawnić na polu bezpieczeństwa, zagrażając powiązaniom sojuszniczym. Spotkanie formatu G-7 w Quebecu (8-9.06.2018) dowiodło ponad wszelką wątpliwość, jak nisko ceni sobie Trump reguły i zobowiązania obecne w świecie dyplomacji zachodniej. Odmawiając złożenia podpisu pod komunikatem końcowym (o porozumieniu w ogóle nie było mowy) przywódców najbardziej uprzemysłowionych państw oraz UE, prezydent amerykański kierował się emocjami i osobistymi pobudkami – zirytowały go słowa kanadyjskiego premiera, a nie rozsądkiem i zdrową kalkulacją, że protekcjonizm wiedzie do groźnej wojny handlowej i to z sojusznikami. Wszak Merkel opowiedziała się za wspólnym frontem europejskim przeciwko „ofensywie celnej” Trumpa.

Trudno więc wykluczyć, że podobna sytuacja pojawi się podczas najbliższego szczytu NATO w Brukseli (11-12.07.2018). Już dzisiaj takie obawy wyrażają wysocy oficerowie Kwatery Głównej Sojuszu. Jeśli warunkiem *sine qua non* zgody strony amerykańskiej na dokument końcowy, wcześniej przecież przygotowany i precyzyjnie przedyskutowany, będzie satysfakcjonujące Trumpa zobowiązanie sojuszników w kwestii *burden sharing*, to szczyt w Brukseli może powtórzyć casus G-7. Przyznał to Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO, który po spotkaniach ze stroną amerykańską stwierdził, że w kwestii trzech najważniejszych dla Sojuszu kwestii na literę „C” (*cash, capabilities, commitments*) dla Trumpa liczy się głównie *cash*.

Ostrze ataku w sprawie finansowania zdolności obronnych NATO niewątpliwie skierowane zostanie w stronę Niemiec – najsilniejszej gospodarki europejskiej i do tego zyskującej na wymianie ze stroną amerykańską. W jednym ze swoich ostatnich

tweetów prezydent Trump pisał, że „USA pokrywają niemal cały koszt NATO, chroniąc te same kraje, które okradają nas w handlu (*rip us off on trade*), one płacą tylko cząstkę i się śmieją”. Adresat tak sformułowanej refleksji jest oczywisty. Tymczasem dyskusja wewnątrzkoalicyjna w Niemczech potwierdza, że Berlin - chociaż zwiększa swoje nakłady budżetowe na obronność (w bieżącym roku o 8% do 1,22% PKB) - to nie zrealizuje zobowiązania z Newport, aby w 2024 r. osiągnąć pułap 2% PKB przeznaczonych na obronę (wg ostatnich deklaracji polityków niemieckich w 2025 r. będzie to zaledwie 1,5% PKB, czyli ok. 60 mld euro).

Czy więc prezydent Trump nie wykorzysta tego faktu jako argumentu nie tylko przeciwko Niemcom, ale całej wspólnocie transatlantyckiej? Czy koncentracja na własnych interesach, które Trump sam określa i zasadach, które sam definiuje, nie doprowadzi do zwrotu w najważniejszym dla bezpieczeństwa europejskiego i światowego zobowiązaniu amerykańskim - Sojuszu Północnoatlantyckim? Efektem może być rozpad układu transatlantyckiego. Nic nie jest wykluczone i nic nie jest pewne. Przebieg szczytu w Brukseli to wielka niewiadoma.

Stawia to przed Niemcami i Europą wyzwanie, o którym mówiła kanclerz Merkel już w maju 2017 r.: „Czasy, gdy mogliśmy się całkowicie oprzeć na innych, dobiegły końca (...). My, Europejczycy musimy wziąć nasze sprawy w swoje ręce”. Do tej tezy nawiązywali inni politycy niemieccy, a Heiko Maas, szef niemieckiej dyplomacji stwierdził, że odpowiedzią na hasło „America First” musi być „Europe United”, czyli UE jako silny gracz w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa (13.06.2018). Wprawdzie w obecnej sytuacji wspólnota europejska nie jest w stanie bronić się sama - bez pomocy Ameryki, to jednak zdeterminowana rozwijać swe zdolności obronne i budować skuteczność w polityce zagranicznej może uniknąć groźby pozostania „na łasce i niełasce” administracji Trumpa. Być może nawet wzrosłyby jej notowania w optyce Waszyngtonu. Warto na to stawiać.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.